

Linia Gosiewskiego [FELIETON]

Rosja Putina jest największym przegranym europejskiej geopolityki w XXI wieku. Lecz jednocześnie w europejskich mediach każdego dnia możemy czytać nowe analizy i zachwyty nad siłą, sprawczością i skutecznością Putina w jego geopolitycznej grze przeciw Zachodowi. Skąd taki paradoks? – pyta Jan Rokita w nowym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Geopolityka stała się kategorią, do której lubią się ostentacyjnie przyznawać analitycy i publicyści, zwłaszcza ci przyglądający się rozwojowi zdarzeń na postsowieckim wschodzie Europy. Przyznawanie się do „myślenia geopolitycznego” jest nawet jakby czymś intelektualnie nobilitującym, mającym gwarantować „realizm” czynionych analiz i stawianych tez. Mam wrażenie, że w Polsce stało się to wręcz manierą sporej części publicystów i analityków, odróżniającą rodzime polityczne piarstwo od tego, jak się zwykło pisać w Europie Zachodniej. Choć i tam – trzeba przyznać – osłabła panująca jeszcze do niedawna konwencja interpretowania zdarzeń na wschodzie w duchu „szerzenia unijnych wartości”, „transformacji liberalnej”, czy „postępu praw kobiet”, a coraz częściej można czytać o „strefach wpływów”, „potencjale wojskowym”, albo „zagrożeniu granic”. Rzecz jasna, to sama ewolucja stosunków politycznych na wschodzie Europy, skłania do tego rodzaju zmian w aparaturze pojęciowej. Ale im więcej czytam tak licznych teraz analiz spraw wschodnich, tym bardziej nabieram przekonania, iż owo „myślenie geopolityczne” – to bardziej kwestia *sui*

generis intelektualnego szyku albo publicystycznej mody, niżli faktyczne uznanie kluczowej roli geografii w diagnozowaniu dziejącej się polityki. A to jest w końcu sednem geopolityki.

*Po upływie czterech wieków
świat znów pasjonuje pytanie,
czy Moskwa z bólem
akceptować będzie granicę
swoich wpływów tam, gdzie
wyznaczył ją niegdyś
referendarz Gosiewski*

Od dziecka lubiłem
mapy, zaś godziny
nieprzymuszonego
ślęczenia nad
atlasami
historycznymi i
porównywania map
wspominam jako
niemałą
przyjemność

odległych czasów szkolnych. Nie dziw zatem, że pierwsza rzecz, jaką zrobiłem po wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej, to zestawienie współczesnych linii frontu z mapami historycznymi. Różne ciekawe wnioski geopolityczne można wysnuć z takiej zabawy, ale jeden aż się narzuca ze swą oczywistością. Otóż już ósmy rok państwo rosyjskie toczy przewlekłą wojnę pozycyjną z Ukrainą mniej więcej wzdłuż linii demarkacyjnej, jaką w 1618 roku (bohaterski skądinąd) Aleksander Gosiewski – referendarz wielki litewski, ustalił z Rosjanami podczas rokowań rozejmowych w podmoskiewskim Dywilinie. A ściślej mówiąc: obecna linia rozejmowa w Donbasie leży nieco na wschód od „linii Gosiewskiego”. Ta granica dywilińska jest o tyle istotna, że nigdy więcej w czasach nowożytnych ani carat moskiewski, ani późniejsze Sowiety, nie znalazły się w aż tak głębokiej geopolitycznej defensywie wobec Zachodu, jak w wyniku tamtych negocjacji. A tymczasem po upływie czterech wieków świat znów pasjonuje pytanie, czy Moskwa z bólem akceptować będzie granicę swoich wpływów tam, gdzie wyznaczył ją

niegdyś referendarz Gosiewski, czy też jednak zaryzykuje zbrojne wyjście poza „linię Gosiewskiego”, przed czym Zachód przestrzega ją z całkiem sporą determinacją.

Kiedy w 2000 roku Putin po Jelcynie obejmował pełnię władzy na Kremlu, linie geopolitycznego podziału były na wschodzie Europy niemal całkiem zatarte. Wiadomo było tyle tylko, że Polska i kraje wyszehradzkie znalazły się w zachodnim sojuszu wojskowym, ale w sławnym dokumencie paryskim Zachód jednostronnie obiecał Moskwie, iż nie ma zamiaru przesuwac swego potencjału militarnego bliżej rosyjskich granic. Jednak w ciągu następných dwudziestu lat władca Rosji swą nieudolną polityką zagraniczną doprowadził nie tylko do faktycznego wycofania się Zachodu z tamtych przyrzeczeń, ale także do spektakularnych klęsk moskiewskich sojuszników w Gruzji, na Ukrainie, a nawet w prorosyjskiej Mołdawii. Co więcej – sprawił również, że mieszkańcy tych krajów w przyspieszonym tempie przemienili się z ludów postsowieckich w narody o silnym poczuciu narodowej odrębności, zaś ich nacjonalizm nabrał ostrza antyrosyjskiego. Niedawne – prawdę mówiąc – zdumiewające badania opinii na Ukrainie pokazują, że znacząca większość mieszkańców tego kraju za swego największego wroga uważa Rosję, zaś za najbardziej oddanego sojusznika – Polskę. To właśnie te badania socjologiczne najwyraźniej pokazują różnicę sytuacji cara Michała Romanowa, gdy ten taktycznie akceptował „linię Gosiewskiego”, planując rychłe złamanie rozejmu, oraz prezydenta Władimira Putina – w pełni świadomego, jak krwawą i rujnąjącą wojnę sprowadziłby na Rosję, gdyby na serio chciał zbrojnie przełamać ową linię.

Gdzie zatem tkwi źródło niepowodzenia dwóch dekad wysiłków geopolitycznych Putina? To proste: w sprzężeniu zaciekłości jego gróźb i asekurantwa poczynań. Od czasu sławnej monachijskiej mowy z 2007 roku władca Rosji nieustannie obwieszcza, jak mocno odrzuca ów model porządku europejskiego, który ukształtował się po rozwiązaniu ZSSR i zjednoczeniu Niemiec, oraz jak chwacko zamierza ów ład całkowicie odmienić. Tymi zapowiedziami sieje panikę wśród sąsiadów i nie tylko sąsiadów, wywołując nieustanne skojarzenia z Hitlerem, tak samo głośno odrzucającym niegdyś ład wersalski. Co rusz w taki sposób organizuje manewry swych armii, aby wyglądało na to, iż już rozpocznie się w Europie wielka wojna. Ale jak przychodzi co do czego, udaje zaledwie imperialnego zaborcę, nie wiadomo tylko, czy bardziej na użytek wystraszonego Zachodu, czy marzących o podbojach Rosjan. Owszem, bierze Abchazję i Osetię, gdzie jest pewien wrogości wobec Gruzinów i sympatii do Moskwy, ale nie tyka już samej zbuntowanej Gruzji. Tak, siedzi cały czas na prorosyjskim Naddniestrzu, ale już wobec maleńkiej Mołdawii gotów jedynie używać dywersji wewnętrznej. Owszem, zajmuje Krym, gdy zrewoltowany Kijów pogrążony jest w chaosie, więc może mieć pewność sukcesu niemal bez jednego wystrzału, ale potem z uporem bezmyślnie popycha Ukraińców do nienawiści wobec Rosji, nie mając pojęcia, co Rosja ma z ową wzbudzoną nienawiścią naprawdę począć.

Teraz dostaliśmy właśnie zabawny pokaz skutków takiej polityki w Kazachstanie, gdzie nawet uważany za marionetkę prezydent Tokajew (dawniejszy niski rangą dyplomata sowiecki) cichcem zakpił sobie z Putina, najpierw rozprawiając się rękami żołnierzy rosyjskich z własnymi przeciwnikami, a zaraz potem publicznie wyganiając owych żołnierzy z powrotem do Rosji. Wzbudziło to zrozumiałą gniew i sprzeciw ministra obrony Szojgu, ale Putin przywołał go (publicznie!)

*Zachodni (w tym polscy)
fachowcy od „myślenia
geopolitycznego” są ślepi na
faktyczne przemiany geografii
politycznej postsowieckiego
wschodu*

do porządku: tak,
natychmiast się
wycofujemy. Ta
niedoceniana
kazachska historyjka
z ostatnich dni mówi
niemal wszystko o
porażce
geopolitycznej
strategii Putina na

postsowieckich obrzeżach Rosji. Obecny władca Rosji to polityk do głębi znający i rozumiejący geopolityczną słabość swojego kraju, ba... to człowiek, który (jeśli wsłuchać się w jego wywiady) sam nieustannie przyznaje się do ciężkiej traumy, jaką w jego życiu stał się nagły rozpad imperium rosyjskiego. Odkąd zyskał pełnię władzy, aż go nosi z powodu owej traumy, z którą ani nie umie żyć, ani nie potrafi jej zwalczyć. Stąd owa, tak szkodliwa dla Rosji, chybotliwa dialektyka grózb i niemocy. W jej efekcie Rosja Putina jest największym przegranym europejskiej geopolityki w XXI wieku. Lecz jednocześnie w europejskich mediach każdego dnia możemy czytać nowe analizy i zachwyty nad siłą, sprawczością i skutecznością Putina w jego geopolitycznej grze przeciw Zachodowi. Skąd taki paradoks? Ano stąd, że zachodni (w tym polscy) fachowcy od „myślenia geopolitycznego” są ślepi na faktyczne przemiany geografii politycznej postsowieckiego wschodu. Przesłania im je putinowska rozpaczliwa „dyplomacja kanonierek”, siejąca autentyczny strach i kamuflująca prawdę o geopolitycznych realiach.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury –
państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego